

Totti jest jednym numerem. Jest dziesiątką. Ale nie był nią zawsze. Stał się nią. Wcześniej był czwórką i ósemką, reżyserem gry, nietypowym pośrednikiem między pomocą i atakiem, napastnikiem, wysuniętym napastnikiem, pomocnikiem, a nawet cofniętym reżyserem gry przed obroną. Francesco był w sumie zawsze tym, kto zagrywał piłkę. Totti jest jak efekt optyczny, manierystyczne dzieło. W środku możesz dostrzec dziesiątkę, ale nie widzisz jej na pierwszy rzut oka.

Popatrzcie na niego. Totti. Jest w nim pewna idea, ale trzeba się przyjrzeć, żeby ją dostrzec. Gdzieś między wierszami. Jak w tych obrazach, kiedy musisz popatrzeć na kropkę - u Warthola czy Arcimboldiego - żeby nagle zobaczyć inny kształt. Wszystko się wyjaśnia. Otwiera się nowy horyzont. Tak samo dzieje się przy jednym z jego wspaniałych podań. Pyk... I nagle rozumiesz, że ta kropka to nie on, ale coś innego. Nie tamta czwórka, nie tamta ósemka, nie tamta dwudziestka, ani tym bardziej siedemnastka przypisana mu przez Carlosa Bianchiego. Tottiemu trzeba się przyjrzeć, ponieważ nie wszystko widzisz od razu. Jego pierwszym numerem była szesnastka, w Brescii. Swoją pierwszą bramkę strzelił w koszulce z dziewiątką, z numerem Pruzzo. Tamta koszulka trafiła w ręce pewnego strażnika z Los Angeles, a potem została kupiona przez kolekcjonera. Może do dziś kryje się w jakiejś kolekcji z innej planety, gromadzącej pierwsze koszulki Francesco. Koszulka z Fortiduoła była naprawdę ciężka i gryzła bardziej niż wełniana. Było ich wiele. Ale żadna nie miała numeru 10.

Są numery na koszulce, które są jak dowód tożsamości noszony na plecach. Best był siódmką, Ardiles jedyką, Tigana i Cruyff czternastką, Paulo Roberto Falcao piątką. No i jest jeszcze dziesiątką, która - jeśli to możliwe - jest najwyraźniejszym znakiem rozpoznawczym, ponieważ bardziej niż jednostkę, określa pewną grupę piłkarzy, których powołaniem jest odmieniać piłkę. Są jak ci bohaterowie, którzy potrafią obejść zainfekowany komputer pokładowy, odkryć szczepionkę przeciw śmiertelnej chorobie, uspokoić rozszalałe żywioły. Trzeba umieć nosić koszulkę numer 10. Trzeba umieć na nią zasłużyć, jeśli nie chcesz wyjść na amatora, na łotra, czy - co gorsza - na kogoś, kto dostał ją tylko po znajomości. Także dlatego, że przed epoką nowoczesnej piłki, kiedy na boisku pojawiały się numery od 1 do 11, na swój numer musiałeś naprawdę zasłużyć. I musiałeś go bronić. Lewy obrońca grał z trójką. To był nie tylko numer, ale też pozycja. Stanowisko pracy. W nowoczesnej piłce numer jest gotowym wytworem z seryjnej produkcji. Od 1 do 99. Możesz wybrać. Miejmy nadzieję, że kiedyś nie wejdziemy w świat numerów trzycyfrowych... Francesco Totti to numer 10 idealny. Był czwórką, był ósemką, był dziewiątką, był szesnastką, był dwudziestką, był siedemnastką. Ale tylko dziesiątką w pełni go charakteryzuje. Totti stał się dziesiątką i zawsze był dziesiątką.

Taka jego natura. Totti stał się samym sobą.

Pierwszy występ Tottiego jako dziesiątki to historyczny moment. 30 października 1994. Parma. Stadion Tardini. Był jeszcze młodzieniaszkiem, którego Mazzone otaczał opieką. Nieśmiałym chłopcem czerwieniącym się pod wzrokiem innych. Osiemnastolatkiem u progu swojego pierwszego wielkiego sezonu. Założył barwy Romy przeciw Parmie. Mecz skończył się 1-0 po golu Gianfranco Zoli, kolejnego numeru 10. Francesco dopiero wkroczył do świata cudów. Ale za cudowny uzna go innego 30 października. W dniu historycznej wygranej Romy. W Madrycie z Realem. 1-0. W koszulce z numerem 10. Wynik jak lustrzane odbicie numeru...

Jakie jest magiczne zaklęcie pozwalające założyć tę koszulkę? Nie ma żadnego. Trzeba przejść pewną drogę. Dojrzeć. Nie jest to proste. Numer 10 naprawdę przychodzi późno, po debiucie Boskova, po trzech latach z Mazzone, po zmarnowanym roku z Bianchim. Giuseppe Giannini, Księżę, Numer Dziesięć, odchodzi razem z Mazzone, ale Carlitos nie pozwala na naturalne przekazanie symbolu. Następuje rok próżni, rok zawieszenia, jakby numer szukał swojego właściciela. Jak postaci w poszukiwaniu autora w sztuce Pirandella. W tym sezonie Totti jest blisko odejścia do Sampdorii lub Cagliari. W grę wchodzi nawet Tottenham, który mógł odmienić losy Tottiego - to przecież tutaj grała największa po Tottim dziesiątka na świecie - Glenn Hoddle. Numer 10 przychodzi więc późno, przychodzi w sezonie 1997-98. Dopiero u Zdenka Zemana. Człowieka, który przecież według wielu miałby być zaprzeczeniem fantazji, błysków geniuszu, numeru 10. Tak się o nim mówi.

Głupoty. Pomyślcie sami. Jeśli wliczyć rok debiutu, Francesco Totti - dziesiątka z definicji - grał z innym numerem przez 5 sezonów: 1992-93, 1993-94, 1994-95, 1995-96, 1996-97. A potem dziesiątki nie wziął sobie sam. Dali mu ją inni. Nie prosił się o nią. Nigdy by tego nie zrobił. Nigdy o tym nie myślał. Na pomysł wpadli Abel Balbo, Marco Delvecchio i Gigi Di Biagio. Spodobał się Zemanowi i prezesowi Franco Sensiemu (*sprawiedliwe było, żeby to Francesco dostał tę koszulkę*). Francesco tymczasem sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać, aż ją komuś odda, jakby nie był gotowy do przyjęcia przeznaczenia, które przecież sam wybierał już tysiące razy, od kiedy był małym chłopcem, poprzez swoją grę. *Podaruję ją Księżciu, ale nie domagam się, żeby powiesił ją sobie w pokoju. Tak, pierwszą, której użyję, podaruję Gianniniemu. Mam nadzieję, że jej nie wyrzuci, tylko będzie używał. Nie sądzę, żeby jego żona, Serena, dała mu ją powiesić w pokoju, tak jak ja zrobiłem z moją. Mi wystarczyłoby, żeby ją nosił, choćby grając w piłkę halową. Na pewno się tego nie spodziewałem. Myślałem, że będę grał z numerem 20, który dał mi Mazzone. To on, trener, któremu zawdzięczam wszystko, pokierował początkami mojej kariery,*

budząc także polemiki. Jestem mu bardzo wdzięczny. Gra z numerem 10 to zaszczyt. Ale wiem, że jestem jeszcze mały...

Obrazek jest zawsze ten sam. Młody chłopaczek z Fortitudo, któremu dali największą, najważniejszą koszulkę. Mały Księżę, który zabiera się za liczenie kropek, słońc, światów i odnajduje się z najważniejszą dwucyfrową liczbą w życiu, najpiękniejszą i najbardziej zobowiązującą. To identyfikacja. 10 jest jak nowe ja. 10. Totti. To nie przypadek, że Francesco raz na zawsze skończył z tym numerem na plecach. Od Zemana do Mundialu, przez Puchary, Złoty But, rankingi najlepszych strzelców, magię, wszystkie rekordy i wszystkie te numery mieszczące się w przedziale od 1 do 9. "Ja" Tottiego to właśnie numer 10. Jedyne czego było mu potrzeba to zrealizować się. I zrobił to 17 czerwca 2001 roku, kiedy został mistrzem Włoch. *Najpiękniejszy moment mojej kariery to rok 2001, kiedy wygraliśmy scudetto. To było moje marzenie od dziecka i udało mi się je zrealizować. Także dlatego, że - jak zawsze mówiłem - wygranie scudetto z Romą to jak wygranie dziesięciu z inną drużyną we Włoszech. Kiedy jesteś młody, myślisz i masz nadzieję zagrać kiedyś na Stadio Olimpico. Dla to zawsze było bardziej marzenie niż rzeczywistość. W Rzymie... Od dwudziestu lat Roma nie mogła cieszyć się z tytułu i kiedy nam się to udało, doszło do eksplozji radości. To było jak delirium. Ludzie oszaleli. Każdy zrobiłby wszystko dla tych barw.*

On także. tamtego dnia Francesco dla tych barw zrobił jedno: wygrał i płakał. Vito Scala mówi: *Po raz pierwszy widziałem wtedy płaczącego Francesco. Totti roztopił się w emocjach. Stał się po prostu Francesco. To był sposób, żeby pokonać swoją nieśmiałość i pewne ograniczenia, a nie tylko radość z ostatecznej odpowiedzi na głupie gadanie, że nigdy niczego nie wygrał, że nigdy nie jest decydujący... W tych łzach widać było sens życia. Tak opowiada jego mama: *Mieszkaliśmy przy via Vetulonia z moimi rodzicami. Oboje czuli się źle i nie chciałam, żeby Francesco widział, jak dziadkowie cierpią, więc zabierałam go, żeby pograł w piłkę. Najpierw pod domem, a potem - w wieku 6 lat - do Smit na Trastevere. Potem jeszcze do Lodigiani. Ale widać było, że już jako mały chłopiec miał mocne nogi. Kiedy miał 9 miesięcy, pojechaliśmy nad Adriatyk, a on spacerował po plaży popychając piłkę. Wszyscy się śmiali. Do tej pory mam zdjęcia. Piłka... On zawsze miał ją w środku. Jako mały chłopiec myślał tylko o grze i zabawie. Odwoziłam go samochodem na treningi, najpierw dwa razy w tygodniu, a potem - kiedy przeszedł do Lodigiano - codziennie. Każdego popołudnia. Zawoziłam jego i jego kolegę, Giuseppe Capano. Nie pracowałam, poświęciłam się moim dzieciom i rodzicom. Po treningu odwoziłam go na lekcje katechezy i pilnowałam, żeby odrobił lekcje. Powtarzałam mu: "Francesco, w życiu są trzy najważniejsze rzeczy: rodzina, nauka i piłka". Kiedy musiałam go ukarać, zabraniałam mu grać w piłkę i to bolało go najbardziej. Potem trafił do Romy, ale my zawsze twardo stąpaliśmy po ziemi. Podchodziliśmy do tej przygody spokojnie, bez szaleństw. Ile rozczarowanych mam widziałam przez te**

wszystkie lata... Jasne, to wymagało poświęceń, ale wynikały one z miłości, więc mi nie ciążyły. No i zawsze myślałam, że lepiej jest go wyprowadzić na zewnątrz niż trzymać w domu z chorymi dziadkami.

Francesco Totti urodził się dwa razy. Po raz drugi do gry w piłkę. Miał 9 miesięcy - tyle samo trwa ciąża - i już bawił się piłką. I to jego mama pozwoliła mu na te drugie narodziny. Oto dlaczego tak dobrze gra w piłkę. Ponieważ na boisku widać całą tę miłość. Totti zaczął grać w piłkę, ponieważ to była odpowiedź jego matki na śmierć. Matka, która wybiera życie. I w tamten czerwcowy dzień Francesco jej się za to odplacił. To wszystko kwestia koszulki. Tej samej, którą Fiorella pręła przed treningami, tej samej, którą zakładała małemu chłopcu, tej samej, którą Francesco musiał nauczyć się nosić, żeby nie czuć się już małym. Ponieważ tylko w ten sposób spełniają się marzenia. I to właśnie Francesco przywrócił jej tamtego dnia. Sens życia. Koszulka z numerem 10. *W piątek Francesco powiedział mi: "mamo, w niedzielę na Olimpico chcę Cię widzieć w mojej koszulce z numerem 10". "Żartujesz?" - odpowiedziałam. - "Wiesz dobrze, że nie lubię być na widoku. Na stadionie wszyscy mnie znają..." Ale on nalegał. Tamtej nocy pomyślałam: "mój Boże, co robić? Mój syn mnie o to prosi, nie mogę go rozczarować. Ale jak mam się pokazać w jego koszulce?" W końcu jednak zgodziłam się i - żeby nikt mnie nie poznał - założyłam czarną czapkę i ciemne okulary. Byłam spięta, ale w środku bardzo spokojna. Kiedy zobaczyłam, jak wchodzi na boisko, wruszyłam się. To był jak jakiś przebłysk. W jednej sekundzie przed moimi oczami przewinęły się obrazy małego Francesco grającego w piłkę, jego pierwsze treningi. Przypomniał mi się tamten chłopiec, który - zaczynając grę w Romie - powiedział mi, że chce strzelić bramkę w ostatniej kolejce i zdobyć scudetto. Jestem prostą, spokojną kobietą. Mówią wprost to, co myślę. Nienawidzę hipokryzji. Ale jestem też optymistką i ten optymizm, tę moją wiarę, chyba zdołałam wpoić moim dzieciom. Moja zasługa? Nie mam żadnej zasługi. Cała zasługa leży po stronie Francesco. On jest piękny i bogaty w środku, ma bardzo mocny charakter. Kto mógłby się tego spodziewać? Chciał zrealizować to marzenia, którego zawsze się trzymał. Nawet my na początku nie wiedzieliśmy, jak bardzo jest zdeterminowany. Marzył i jego marzenie się spełniło. Strzelił bramkę, a ja byłam bliska utraty przytomności z radości. Spadła mi czapka i wszyscy mnie poznali. "Popatrz, to mama Tottiego!" i krzyczeli. Ale to wszystko było takie piękne... Na koniec meczu oszalałam z radości. Myślałam o wujku, którego już wtedy nie było, a który był kibicem Romy. Jak bardzo cieszyłby się, widząc wtedy Francesco. Myślałam o dziadkach. I płakałam.*

Przeciw Parmie, pewnego wieczoru, pewien chłopiec po raz pierwszy włożył koszulkę Romy z numerem 10. Marząc o dniu, w którym spełnią się jego marzenia. Przeciw Parmie, pewnego dnia, pewna mama założyła po raz pierwszy koszulkę Romy z numerem 10. Tego dnia jej syn zdjął ją po strzeleniu bramki wartej scudetto. I, wskazując na trybuny, oddał ją kibicom, krzyżąc: "scudetto jest wasze, jest wasze".

Tylko w ten sposób marzenia się spełniają. Stając się jednym. Mama Roma.

Autor: TONINO CAGNUCCI

Tłumaczenie: kaisa

Autor: kaisa